



**SYLWIA
TROJANOWSKA**

**KOBIETA
O BIAŁYCH
OCZACH**



MARGINESY

Niniejsza powieść jest fikcją literacką, jednak pewne zdarzenia i postaci są prawdziwe. Autorka przedstawiła je na podstawie materiałów źródłowych z zachowaniem należytej staranności.

COPYRIGHT © BY Sylwia Trojanowska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

Iwonce Mokrzejkiej – za nieustające
wsparcie, skrzydła i księżyc.
Oraz dla moich chłopców – za wszystko.

I

NARODZINY ŻYCIA

TAJEMNICA CIEMNOŚCI

Sofia leżała na łóżku, okryta lekkim pledem, i spoglądała na krzątającą się po pomieszczeniu kobietę. Na jej siwusięńkie włosy splecione w cienki warkocz, przygarbione ramiona, na lnianą bluzkę – luźną, z długimi bufiastymi rękawami, przewiązanymi tasiemkami u nadgarstków. Staruszka koślawo stawiała kroki na ceglanej podłodze. Od okna na prawo, do okna na lewo. Od fajerki do spiżarki. Szemrała przy tym pod nosem słowa po niemiecku, niewyraźnie, a liczyła w dziwnym, szeleszczącym języku, którego dziewczynka nie rozumiała. Do tego pstrykała palcami, cmokała, pomrukiwała – jakby te wszystkie dźwięki i gesty były elementami rytuału. Do poczerniałego żeliwnego gara wrzucała ziarna, wcześniej odmierzywszy je na skrzypiącej wadze. A potem mieszała: trzy razy w prawo i siedem w lewo. Skupiona na swojej pracy, nie dostrzegła bystrych oczu dziewczynki, śledzących każdy jej ruch i każdy gest. Sofia starała się nie wydawać z siebie żadnego odgłosu. Nie żeby się bała. W lichej chacie, pozbawionej wygod, dużych okien i zdobnych obrazów, czuła się przedziwnie bezpiecznie. Może to dzięki białookiej kobiecie, która znalazła ją w leśnej gęstwinie i na rękach przyniosła aż tutaj, a może z powodu miejsca, którego tajemna aura otulała Sofię spokojem.

Dziewczynka leżała i obserwowała staruszkę, kiedy nagle oblały ją zimne poty. Zdąła sobie sprawę, że nie pamięta niczego od czasu, kiedy kobieta ją znalazła. Żadnej osoby, miejsca, wydarzenia... Rozumiała, co się działo w chacie. Wiedziała, jak nazwać przedmio-

ty, kolory, dźwięki. Ale nie potrafiła przywołać zdarzeń ze swego przeszłego życia. Chociaż nie, pamiętała jeden szczegół. Gdy zamykała oczy, pod powiekami widziała czerwoną kałużę, a w niej kobietę o marmurowo białej twarzy. Tego jednego obrazu była pewna.

Obserwowała ruchy staruszki. Kształty się rozmywały, a powieki stawały się coraz cięższe.

Zasnęła.

Kiedy otworzyła oczy, świtało. Kobieta siedziała przy stole i paliła papierosa. Wypuszczając z ust cienkie strużki dymu, które niemal natychmiast wsiąkały w ściany, wpatrywała się w jeden punkt – wiążący naprzeciwko obrazek, na którym księżyc kłaniał się słońcu. Swoim zwyczajem mamrotała coś pod nosem: rytmiczne słowa, jakby wiersz albo wyliczankę.

Dopaliwszy papierosa, zgasiła go, po czym wstała i podeszła do bulgoczącego gara. Sofia uniosła głowę i wtedy za plecami usłyszała przyspieszony oddech. Natychmiast się obejrzała; patrzyły na nią wielkie, pocziwe oczy białego zwierza. Przez chwilę, bardzo krótką, ona i zwierz wpatrywali się w siebie, a potem psiak szczechnął radośnie i liznął dziewczynkę jęzorem po policzku.

– Co mi tu! Piorun, no! – Po chacie poniósł się głos gospodyni. – Już mi!

Pies zeskoczył na podłogę, pokręcił się przy łóżku, a potem załegł przy ścianie. Staruszka podeszła do Sofii i ukucnęła. Ich twarze znalazły się blisko siebie. Dziewczynka natychmiast się odsunęła. Z daleka białe oczy kobiety nie wyglądały tak przerażająco. Kiedyś może były błękitne, może zielone. A może zawsze takie białe?

– To ja, Gaja. Na rękach ty u mnie. Nie boić się, nie boić, Sofijka – powiedziała łagodnie staruszka z czułością tak wielką, że dziewczynka, słysząc nagle własne imię, odważyła się na nią zerknąć. A kiedy to zrobiła, tamta uśmiechnęła się serdecznie, ukazując siateczkę zmarszczek przy oczach i równiusieńkie zęby.

Gaja rozumiała, że jej wygląd mógł przerażać. Był to przecież jeden z powodów, dla których zamieszkała z dala od ludzi. Ale poza tym miała wielkie serce, chyba nawet zbyt wielkie.

Dźwignęła się i po chwili wróciła do małej z kubkiem ciepłego mleka. Sofia wzięła ostrożnie naczynie i upiła kilka łąpczywych łyków.

– Powoli... – Kobieta ją uspokoiła. – Po-wo-li.

Posłuchała, pijąc już bez pośpiechu. Oddała kobiecie pusty kubek i chciała podziękować, ale gdy otworzyła usta, nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Gardło było zaciśnięte, związane, jakby pomarłe. Staruszka od razu dostrzegła niepokój na twarzy dziecka i usteczka układające się w kształt pustych słów.

– No, nie boić się. Już dobrze – powiedziała spokojnie.

Chciała pogłodzić tę istotkę po policzku, a może po włosach...? Swoim dotykiem dodać jej otuchy, ale zbyt dużo niepewności dostrzegła w tej małej istocie, więc po prostu odeszła w stronę gara. Znowu zamieszkała trzy razy w prawo, siedem w lewo, mamrocząc pod nosem, wyliczając i cmokając. Potem otrzepała ręce i sięgnęła po bochen chleba. Ukroiła pajdę i posmarowała ją czymś, co z daleka zdawało się Sofii masłem. Spróbowała, ale nie smakowało jak to, którego smak przywołała jej pamięć. Było słone i śmierdziało cebulą. Jednak głodna Sofia nie wyrzydzała. Zjadła całą kromkę, a potem drugą. Spojrzała na swoją stopę, owiniętą płótnem. Poruszyła nią; kończyzna odrobinę bolała, ale dało się na niej stanąć. Sofia zerknęła na wymiętą sukienkę i dostrzegła na niej czerwone plamy. Dotknęła jednej z nich. Staruszka błyskawicznie znalazła się obok i złapała ją za rękę.

– Nie tyka zmarłej krwi – rzuciła pospiesznie, nerwowo. – Gaja. – Wskazała na siebie. – Gaja wypierze.

Sofia przestraszyła się i widoku, i nerwowych słów kobiety. Jej oddech przyspieszył, w oczach stanęły łzy. Małymi rączkami zaczęła drapać się po szyi i wyczuła na niej łańcuszek, a na jego końcu srebrną zawieszkę w kształcie sierpa księżyca. Spojrzała – był uma-

zany zaschniętą krwią. Pisnęła przerażona. Gaja szybko wyjęła z jej rąk świecidełko i oczyściła je mokrą ścierką, a drugą przemyła dłonie dziewczynki. Wymamrotawszy coś pod nosem, wrzuciła ścierki do wiadra i cmoknęła.

– No już, już. Już dobrze.

Poklepała Sofię po ramieniu, jak pociesza się towarzysza broni, dorosłego przyjaciela, ale nie dziecko. Wstała i podeszła do kredensu, po czym wyjęła z szuflady płócienną szatę, a następnie podała dziewczynce do przebrania. Klasnęła z zachwytem, widząc ją w sukience za dużej o kilka rozmiarów, po czym zbliżyła się i przewiązała ją w pasie plecionką tasiemek. Widząc efekt, z satysfakcją wymruzczała coś pod nosem. Na koniec podsunęła Sofii metalowe pudełko pełne słodkich kulek.

– Jedz. Zdrowe.

Sofia nieśmiało sięgnęła po jedną i przez chwilę ścisnęła w palcach. Kulka była miękka i kleista. Gaja też wzięła jedną i szybko włożyła do ust, jakby chciała dać dziewczynce przykład. Sofia zrobiła to samo i poczuła niezwykłą słodycz. Kulka przykleiła jej się do podniebienia i wtedy, zupełnie nieoczekiwanie, Sofii zrobiło się lepiej. Gaja przez cały ten czas ją obserwowała i kiedy dostrzegła w twarzy dziecka coś, na co najwyraźniej czekała, odetchnęła z ulgą.



Cały dzień spędziły razem. Sofia stawiała się coraz odważniejsza, szczególnie kiedy Gaja pokazała jej podwórkę. Było małe; po prawej znajdowały się studnia, drewniana szopka i kurnik, a po lewej – za pryzmą drewna – wychodek. Dziewczynka usłyszała muczenie i gdakanie i te dźwięki sprawiły, że całkiem przestała już myśleć o usztywnionej stopie, osamotnieniu i pustce, którą czuła, ale której nie rozumiała. Nagle wstąpiła w nią nowa energia. Zaciekawiły ją rudobure kury przechadzające się po obejściu. Zajrzała do kurnika i ku uciesze Gai całkiem zgrabnie podebrała kilka złocistych

jaj. Podlała kwiaty, które rosły w grządce przy murze, zebrała jabłka leżące pod rozłożystą jabłonią. Pobiegła do obory. Gaja udała się za nią. Bała się, że mała mogłaby zająć mućkę od tyłu i w rezultacie otrzymać kopniaka. Ale Sofia ją zaskoczyła. Mimo wieku zdawała się rozumieć, jak powinno zachowywać się wśród zwierząt i czego na pewno nie należy robić. Była uważna, ale nie płochliwa. Tak bardzo różniła się od dziewczynki, która przed chwilą, cała przestraszona, wciskała się w kąt chaty. Jakże ten obraz Sofii był miłszy dla Gai. Jakże miłszy!

Zjadły skromną kolację, a potem Gaja poczęstowała Sofię ciepłym naparem, prosząc, by dziewczynka wypila go bez marudzenia, bo to dla zdrowotności. Sofia spełniła jej prośbę i ani się spostrzegła, jak zaległa w łóżku, obserwując staruszkę ponownie warzącą coś w garze. Trzy ruchy chochlą w prawo, siedem w lewo. Mamrotanie, wyliczanki, cmoknięcia. Sofia przyglądała się temu wszystkiemu. Chciała zasnąć, ale w głowie szumiało jej od emocji. Nie doskwierał jej smutek, nie było jej źle, ale i tak cichutko zapłakała. Piorun zareagował od razu. Podszedł, zamachał ogonem, jęzorem liznął po policzku, jakby chciał w ten sposób zabrać od niej wszystkie troski, wszystkie łzy. Zamknęła oczy. Poczula ulgę, gdy ciepła dłoń Gai zaczęła delikatnie głaskać ją po głowie. Potem usłyszała zlepek słów w obcym szeleszczącym języku, wypowiedzianych rytmicznie niczym wyliczankę, a może zaklęcie... I zasnęła.



Obudziła się nad ranem, gdy pomieszczenie rozświetlały promienie słońca. Gai nigdzie nie było, za to pies, ten wielki, biały kosmaty stwór, znowu wtulał się w jej plecy. Spojrzała na niego, tym razem z ufnością. Natychmiast zamerdał puszystym ogonem, tłukąc nim o ścianę. Dotknęła go bardzo delikatnie, tuż za uchem. Ktoś ją tak uczył. Pies natychmiast nadstawił łeb, jakby chciał powiedzieć: „Tak, tak, drap mnie dokładnie tam”. Nie szczędziła mu czułości, kochała zwierzęta – tak jej się przynajmniej zdawało.

Kiedy wstała z łóżka, po raz pierwszy z pełną świadomością rozejrzała się po chacie. Izba była mała, malutka i bardzo przytulna. Każdy mebel miał tu swoje miejsce i przeznaczenie. Od ścian nie wiało pustką, choć nie zdobiły ich lustra, tapety ani lampy, lecz ryśowane węglem i ołówkiem obrazki oprawione w drewnianka. Dwie ściany od podłogi do sufitu zabudowane były regałami, na których leżały pudła i skrzynki, menzurki i kolby, kosze ziół, słoje ziaren, kiszonki, świecidełka wszelakie. Sznurki, paciorki, suszone owoce, grzyby, płatki kwiatów. Na środku pomieszczenia znajdował się potężny drewniany stół na szerokich nogach. Wczoraj przy nim jadły, ale teraz był pusty. Bez talerza, bez wazonu i obrusu. Samotne cztery nogi z blatem i dwoma krzesłami. Sofia obeszła go dookoła i wtedy usłyszała ciężkie kroki, zbliżające się do chaty. Pies zaszczekał.

Zdążyła wrócić do łóżka, kiedy w drzwiach stanęła zziębnięta Gaja.

– Trzeba ratować – rzuciła niby do siebie, a tak naprawdę do Sofii, a kiedy ta się nie poruszyła, ponowiła prośbę: – No, już! Oć!

Dziewczynka podniosła się i dopiero wówczas dostrzegła, że starszuszka trzyma w ramionach małego lisa. Popiskiwał jęklonie, jakby bardzo cierpiał.

Gaja położyła go na stole i obejrzała łapę. Łała się z niej krew.

– Tu. – Wskazała miejsce, gdzie Sofia miała ucisnąć palcami. Ta, choć niepewnie, wykonała polecenie. – Mocno, już!

Gaja wolną ręką otworzyła szufladę w stole i wyjęła nożyczki, cienki nożyk oraz pocięte paski płótna, cmokając przy tym i... przeklinając. Siarczyście, bez zawahania, niczym litanie. Zerknęła na narzędzia, jakby sprawdzała, czy wszystko jest na swoim miejscu, a potem zajęła się lisem. Jej ruchy były szybkie i nad wyraz pewne. Wiedziała, co ma robić. Nacinała, szyła, wciskała mazidla i proszki. Długo to trwało i nie wszystko szło po jej myśli. Krew płynęła i płynęła, a kobieta co jakiś czas nerwowo ocierała spocone czoło. W końcu jednak westchnęła z zadowoleniem, otuliła zwierzę lnianą ścierką i wyniosła na zewnątrz, do kojca.

– Dobrze – stwierdziła po powrocie.

Starannie wyszorowała blat, umyła narzędzia, do metalowego wiadra wrzuciła strzępy zakrwawionego płótna, a potem klapnęła na jedno z krzeseł i zapaliła naprędce skręconego papierosa. W milczeniu wypuszczała spomiędzy warg cienkie wstążki dymu, nawet nie spoglądając na stojącą obok niej Sofię, tylko na jeden z obrazków na ścianie. Wyglądało, jakby samo patrzenie przywracało jej siły, bo po wypaleniu papierosa oderwała wzrok od obrazka, upiła łyk kawy i podniosła się ociężale.

– Trzeba nam ruchu – zdecydowała.

Wyszły na dwór i Gaja doprowadziła dziewczynkę do omszałego płotu. Dla Sofii był zbyt wysoki, by mogła zań zajrzeć, patrzyła więc przez szpary między sztachetami z wielką ciekawością, jakby chciała wypatrzeć coś nowego. Ale niczego takiego nie dojrzała. Żadnych domów, żadnych śladów ludzkiej bytności. Tylko las. Wysoki, ciemny, gęsty. Kiedy Gaja otworzyła bramkę, pies, który do-
tąd szedł przy nich krok w krok, pognął przed siebie niczym strzała puszczona z napiętego do granic łuku. Nie reagował nawet na przywołania Gai. W końcu kobieta machnęła ręką i powiedziała:

– Piorun, on Piorun prawdziwy.

Szły powoli piaszczystą ścieżką, a Sofia co rusz rozglądała się dookoła, zatrzymując wzrok na paprociach o rozbujających liściach. Były olbrzymie, większe od niej. Patrzyła na powalone pnie drzew, porośnięte dziwnymi tworami, które Gaja nazwała hubą. Wreszcie spoglądała na motyle, których wyjątkowo wiele dostrzegła na małej polance. Zdawały się tańczyć nad dywanem fioletowych dzwonków. Dziewczynka nie nadążała za nimi, tak szybko fruwały.

Zatrzymały się na rozdrożu. Gaja stanęła za Sofią, włożyła w jej dłoń kamyk i powiedziała:

– Na demony, na zło. Nakarmić je trzeba.

Sofia nie miała pojęcia, czym są demony, nie znała tego słowa, ale rozumiała, czym było zło, i ono kojarzyło jej się z czerwoną kałużą, z przerażającą czerwoną kałużą. Nieudolnie rzuciła kamień na równo ułożoną górkę, a ten sturlał się z powrotem do jej stóp.

Gaja podniosła go i sama wykonała rytuał. Starannie dobrała miejsce, wpasowując kamień w tę niezwykłą budowlę. Potem wydobyła z kieszeni jeszcze jeden kamyk i poleciła to samo zrobić Sofii. Dziewczynka wykonała zadanie, tym razem z namaszczeniem. Gaja zdawała się zadowolona, a kiedy zerwał się wiatr, wręcz promieniała.

– Nakarmione – powiedziała jakby nie swoim, chrapliwym głosem, tak że Sofia się wystraszyła.

Staruszka pocieszycielsko pogłaskała ją po głowie i pociągnęła na skraj piaszczystej ścieżki. Zatrzymały się obok połaci porośniętej niskimi krzaczkami.

– Jagody – wyjaśniła Gaja, ale Sofia spojrzała na nią, nie rozumiejąc.

Wtedy kobieta rozchyliła krzaczek, zerwała kilka owoców i zjadła. Sofia poszła za jej przykładem; fioletowe kulki były pyszne, jednocześnie słodkie i odrobinę cierpkie. Dziewczynka rozsiadła się w kucki i zaczęła je skubać. Najpierw nieśmiało, a potem coraz zachłanniej, aż całą buzię miała w fioletowym soku. Na chwilę zapomniała o wielkim strachu, który nie tak dawno ogarniał jej ciało i umysł. I o czerwonej kałuży. O niej też nie pamiętała. W jagodowym gaju było jej dobrze.

Białooka kobieta patrzyła na dziewczynkę i zastanawiała się, jak długo mała będzie z nią mieszkać, ile czasu przyjdzie jej się nią zajmować. Bo przecież kiedyś będzie musiała oddać to dziecko. Choćby i chciała je zostawić, choćby i pragnęła. Nie mogła przysposobić dziewczynki. *On* po nią przyjdzie.

TEN, KTÓRY WSZYSTKO WIE

Następnego dnia po śniadaniu długo siedziały przy stole. Gaja pokazywała dziewczynce suszone kwiaty.

– To len, to kocanka, to ciemiernik – wyliczała, odkładając je kolejno do wysokiego wiklinowego kosza.

Podawała dziewczynce kubek z ciepłym mlekiem i poczęstowała kolejną słodką kulką. Sama też wzięła jedną.

– Ja Gaja, ty wiesz. A ty Sofijka, tak? – zdecydowała się zapytać.

Po prawdzie знаła imię dziecka, *on* jej powiedział. Zadając to proste pytanie, chciała jedynie pomóc małej w powrocie do mówienia.

Sofia pragnęła się odezwać, bo dlaczego miałyby tego nie zrobić? Otwierała więc usteczka i próbowała wydusić z siebie krótkie „tak”. Nic z tego jednak nie wychodziło. Nic. Ani mruknięcie, ani jedna cicha głoska. Odstawiła kubek z mlekiem, bo ręce zaczęły jej dygotać, a bródka drżeć. Była przerażona, nie rozumiała sytuacji. Nie miała pojęcia, dlaczego nie może wydobyć głosu. Z jej oczu popłynęły łzy.

– Nie boić, nie boić... – mówiła łagodnie Gaja. – Wszystko dobrze, dobrze.

Złapała Sofię za rączkę i powiodła przed dom. Słońce rozpieszczało je złotymi promieniami. Odwiedziły lisa. Gaja przyjrzała mu się uważnie, ale już nie brała w ramiona, tylko patrzyła, jak nieporadnie rusza łapką, jak chowa się pod daszkiem. Wróciła do chaty po jakiś specyfik, po czym rozsypała go w kojcu. Kiedy zwierzak

zaczął łączywie połykać lek, z satysfakcją pokiwała głową. Zajrzały jeszcze do jeża, który zajmował sąsiedni kojec. Kiedy Gaja go podniosła, nastroszył kolce.

– Ty przeciw mnie? – zaśmiała się. – Toż Gaja ci życie wróciła! Obejrzała go uważnie.

– No już – stwierdziła zadowolona. – W las tobie.

Wzięły jeża i poszły z nim na rozdroże. Tam kobieta ostrożnie postawiła go na ziemi. Jeż przez chwilę tkwił nieruchomo pośrodku drogi, w stuporze, a potem ruszył w kierunku kępy paproci.

– I wara od side! Ty...! – krzyknęła w jego stronę Gaja.

Pozostały tu jeszcze przez chwilę. Sofia znowu rozgościła się wśród jagód, a Gaja usiadła na pieńku i zapaliła papierosa. Spoglądając z rozrzewnieniem na dziewczynkę, czuła ciepło rozplływające się po jej ciele.



Przed nastaniem wieczoru Gaja zaczęła warzyć w garach. W chacie unosił się intensywny zapach, będący mieszaniną mięty, majeranku, rozmarynu i czegoś, co szczypało Sofię w oczy mimo otwartych okien i drzwi. Dziewczynka obserwowała jednak zachłannie poczynania staruszki. Wodziła wzrokiem za każdym jej ruchem, a kobieta, widząc to, z jeszcze większym zapałem wykonywała swoją pracę. Bo to właśnie była jej praca. Dzięki wywarom, naparom i suszonym ziołom miała za co kupić ubrania, naftę i opatrunki dla zwierząt, słoiki, gary i zapalki. Żadnych zbytków, no może poza tytoniem. To było przyzwyczajenie, nałóg, którego nie potrafiła rzucić.

Maści na szybkie gojenie ran, na trądzik, owrzodzenia i brodawki we wstydlivych miejscach miała w zapasie, ale na półce brakowało już syropu nasennego i kropel na pohamowanie męskiej chuci. Ten ostatni specyfik Gaja lubiła najbardziej. Tworzenie wywaru na bazie lipowej kory wprawiało ją w doskonały nastrój.

Czasami przygotowywała coś poza zamówieniem. Pisała wtedy na karteczkach „Do sprawdzenia na przypadłość taką a taką”, „Po-

może na to albo tamto”. Te nowinki najczęściej wynikały z potrzeby chwili, radości tworzenia, z rzadka jednak stanowiły dzieło przypadku. Ich działanie wypróbowywała na zwierzakach i czasami było przy tych próbach sporo śmiechu, bo zdarzało się, że kury po zaaplikowaniu leku chodziły po podwórku jak pijane albo wzbijały się w powietrze, wierząc, że potrafią latać niczym gołębie. Najważniejsze jednak, że klienci okazywali zadowolenie i to praktycznie ze wszystkiego. Tylko kilka razy dotarły do Gai niezadowolone głosy. Kilka razy na tysiące mikstur. Nie najgorzej.



Kiedy Sofia zasypiała, Gaja kończyła pakować zamówienie, po czym, upewniwszy się, że dziewczynka twardo śpi po makowych kroplach, wyszła z chaty. Wcześniej rozmówiła się jeszcze z Piorunem, a on, jakby pojmował każde słowo swojej pani, obwąchał dziewczynkę, a potem wskoczył na łóżko, usadowił się za plecami dziecka, skąd miał najlepszy widok na izbę, i warował.

Tymczasem Gaja zniknęła w czeluści nocy. Drogę przed sobą miała długą, ale przecież pokonywała ją nie pierwszy raz i nie pierwszy raz nocą.

A noc lubiła. Szczególnie tę, podczas której towarzyszył jej blask księżyca. Czuła się z nim w przedziwny sposób połączona. Miała wrażenie, że nocny księżę nie tylko rozświetla jej drogę, lecz także pozwala jaśniej myśleć, a czasami przywodzi zapomnianą przeszłość. Wtedy właśnie, podczas owych nocnych eskapad, okrucuch po okrucuchu wracały do niej chwile smutku i szczęścia, nadziei i załamania. Stawali przed nią ludzie z przeszłości, a wraz z nimi, jak przez mgłę, ona sama – piękna, młoda, gibka. A potem, gdy wracała do rzeczywistości, spotykała się z *nim*; witała z jego spokojnym obliczem, pozwalała się uściśnąć. Odbierała zapłatę za wykonane zlecenie i zakupy, które wcześniej zamówiła. Zawsze otrzymywała też od *niego* coś, czego się nie spodziewała. Nową chochlę, nóż, czasem obrazek w ramce, niekiedy i korale. Różne to były podarki. Wszyst-

kie przyjmowała i skinieniem głowy wyrażała podziękowanie, po czym się oddalała. A *on* nigdy za nią nie szedł, dawał jej przestrzeń, możliwość życia na własnych warunkach, samotniczo, nie w pobliżu ludzkich siedzib. Choć nie to, żeby nie wiedział, gdzie mieszkała. Wiedział wszystko. Sam przecież wybrał dla niej owianą złą sławą i przez ludzi omijaną szerokim łukiem Wisielczą Chatę, sam ją tam zawiózł, sam wybudował bezpieczne wyjście. Sam też czasami zachodził do niej, by sprawdzić, czy żyje, kiedy nie pojawiała się na czas. A ostatnio – żeby przekonać się, jak zajmuje się Sofią. Tak, Sofią. Tylko *on* wiedział, że dziewczynka żyje i mieszka z szeptuchą. Że ma się dobrze, że nie pamięta przeszłości, a z jej ust nie wypływa żadne słowo.

ONA NIE SŁOŃCE. ONA KSIĘŻYC

Gaja siedziała przy stole i skręcała papierosy, raz po raz spoglądając na małą istotkę, która zakłóciła względny porządek jej i tak już dość zwichrowanego życia. Wyczuwała chaos panujący w głowie tej dziewczynki, niemoc w jej gardle. Strach też, choć zdawała sobie sprawę, że ten z dnia na dzień maleje, a dziecko uczy się nowego życia, bo innego już nie ma. Luksusy, drogie ubrania i jedwabne kokardy we włosach – to brzmiało jak baśń, której bohaterką może być tylko królewna. A Sofia zachowywała się tak, jakby od zawsze żyła w prostej, leśnej chacie, z dala od ludzi.

– Niczym nie przypominaj jej dawnego życia – mówił *on*. – Niech zapomni. Dla swojego dobra.

Gaja nie zamierzała tego robić. Pokazywała tylko nowe i dopuszczała dziewczynkę do tego, co sama stworzyła. Pewnego dnia zagalopowała się jednak, a mała zobaczyła coś, czego nie powinna.

Były wtedy w oborze. Gaja doiła krowę, a Sofia kręciła się obok. W pewnej chwili staruszka poprosiła, by dziewczynka przyniosła sito, a ta, nie znalazłszy go tam, gdzie zwykle, zerknęła na drzwi w głębi. Już wcześniej widziała, jak Gaja coś stamtąd wynosi. Może właśnie sito? Uchyliła skrzydło, a wtedy jej oczy dostrzegły inne – czarne, okolone długimi rzęsami i gęstymi brwiami. Sofia jednak nie uciekła, nie przeraziła się, nie zatrzasnęła drzwi. Po chwili z ciemności wyłoniła się jeszcze jedna para oczu, równie ciemnych, siostrzanych. Trwały tak naprzeciw siebie bez jednego słowa, jednego gestu. Nagle przy boku Sofii pojawiła się Gaja.

Zdawała się zmieszana, mamrotała coś pod nosem. W końcu przemówiła:

– To Ewa i Debora. One tu. – Wskazała ręką na ciemne wnętrze. – Ale nam nic do tego.

Kobiety uśmiechnęły się do Sofii, a ta starsza, Debora, jakby serdeczniej. Ewa wyglądała na wycofaną. Obie zostały za drzwiami, w komórcie za krowią zagrodą. Sofia posłusznie wyszła na zewnątrz, ale już następnego dnia, bawiąc się pod jabłonką, przypomniła sobie o kobietach. Wzięła dwa jabłka i pobiegła do obory. Otworzyła drzwi i ponownie natknęła się na czarne oczy Ewy. Wsunąwszy owoce w wyciągnięte dłonie kobiety, uśmiechnęła się nieśmiało i... uciekła. Gaja nie zauważyła jej krótkiej nieobecności; o spotkaniu dowiedziała się dopiero od kobiet. Wtedy zrozumiała, że nie będzie w stanie zakazać tej wszędobylskiej istotce odwiedzin.



Z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc Sofia zrastała się z Wisielczą Chatą. Chętnie bawiła się z Piorunem, rwała się do wypraw na rozdroże, z ciekawością wertowała zielniki Gai, odważnie poczyniła sobie z kurami, ścigając je, a czasami strasząc. Gaję to bawiło. Chichotała, podglądając dziewczynkę, szczególnie wtedy, gdy role się odwracały, bo któraś z mądrych kur nie dawała się oszukać i z zaganianej stawiała się goniącą.

Początkowo Gaję dręczył fakt, że Sofia nie mówi, że nie jest w stanie wydobyć z siebie słowa. Że próbuje, ale bez skutku. Po pewnym czasie zrozumiała jednak, że to atrybut. Że gdyby ktoś stanął im na drodze, dziewczynka nie byłaby w stanie jej wydać. Tak było dobrze, nawet idealnie. Szczególnie teraz, kiedy małą ciągnęło do kobiet z obory. Wiedziała, że nie wyperswaduje jej tego, i czuła też, że nie powinna. Zakazany owoc smakuje lepiej, a ona nie chciała, by mała wędrowała tam potajemnie, by traktowała spotkania z Ewą i Deborą jako coś niezwykłego, nadzwyczajnego. Oswoiła się z myślą, że Sofia wie o dwóch ukrywających się

kobietach. Nakazała im jednak, by nie zachęcały dziewczynki do odwiedzin.

– Oczywiście – zgodziła się Debora. – Nie będziemy. To przecież dla naszego dobra, ale skoro chce, nie możemy jej przeganiać.

– Nie ganiać, ale i nie zapraszać. Niech zapomni.

Dla Ewy byłoby lepiej, gdyby Sofia chciała o niej zapomnieć; nie szukała kontaktu z ludźmi. Ale Deborze brakowało kontaktu z kimkolwiek poza Ewą i małomówną Gają. Cieszyła się na każde odwiedziny dziewczynki. Wyczekiwała ich nawet, choć ze wszystkich sił starała się tego nie okazywać.

– Nie możesz nas odwiedzać – stwierdziła w końcu po kolejnej reprimendzie od Gai. – Bo... Bo jesteśmy chore – skłamała, lecz gdy dostrzegła w oczach dziecka łzy, zrobiło jej się przykro. – Ale niedługo wyzdrowiejemy i będziesz mogła do nas wrócić, dobrze?

Sofia pokiwała głową i wybiegła z kryjówki. Po kilku chwilach była już z powrotem. W rękę trzymała słoik z żółtą, gęstą zawartością. Kilka dni wcześniej Gaja przygotowywała mieszaninę „na choroby wszelakie”, jak to określiła, a Sofia zapamiętała opatrzonej lakiem pojemniczek.

Debora podziękowała i udała kaszel, a potem znowu skryła się w półmroku, myśląc o tym, że jeszcze nie tak dawno mogłaby wziąć Sofię za rękę i pójść z nią na spacer do lasu, do parku, nawet pośród ludzi. Tak jak robiła z synkiem Ewy, którego... którego już nie było wśród żywych. Teraz nastały inne czasy. A wyraźne semickie rysy gwarantowały problemy, wywózkę, śmierć... Dlatego ona i Ewa ukrywały się niczym przestępczynię. I starały się robić to dobrze, również dlatego, by nie narażać Gai na niebezpieczeństwo. Taką zawarły umowę. Z *nim*. Obiecały *mu*, że nigdy nie wyjdą z komórki za dnia. Jedynie nocą i to wówczas, gdy niebo pozostanie bezgwiazdne. Słowa dotrzymywały.



Gaja musiała przyznać sama przed sobą, że obecność dziewczynki była dla niej zbawienna. Ta mała Niemka wniosła w jej życie, w życie Wisielczej Chaty zupełnie nowego ducha. Kiedy więc *on* zapowiedział, że niebawem zabierze Sofię, rozpląkała się.

– Nie – wydusiła.

– Nie? Wolałabyś, żeby została? – zapytał. – Myślałem, że jest ci ciężarem, że dwie Żydówki to już za dużo, że chcesz jak najszybciej się jej pozbyć. Szukałem dla niej nowego miejsca.

– Nie. Ona dobra. Może zostać.

– Może zostać...? – powtórzył z niedowierzaniem, a Gaja skinęła głową i skrawkiem rękawa przetarła mokre, białe oczy. – Polubiłaś ją. Miałem nadzieję, że tak będzie, bo Sofia to złote dziecko. Mawiamy na takie, że jest jak słońce.

Staruszka zaprzeczyła.

– Ona nie słońce. Ona księżyc.

WOJNA POD POWIEKAMI ZAPISANA

Gaja wiedziała, że trwa wojna. *On* jej mówił. Dlatego nakazał trzymać się z dala od Pyritz*. Nie chodziła więc ani nad ulubioną rzeczulkę, by pozbierać kaczę pióra i listki krwawnika, ani do Mönchsturm** po kwiaty ciemiernika różowego. Nie pozwalał jej też zachodzić do parku von Borsigów, choć wiedział, że tylko tam mogła zebrać odpowiednią liczbę bulw rannika zimowego, podsadek dawidii chińskiej, nasion mamutowca olbrzymiego. Tylko tam znajdowała pawie pióra, potrzebne do zasypki na przewlekłe owrzodzenia. Zgodziła się jednak zrezygnować z długich wycieczek i gdy zdarzało jej się być już w połowie drogi do arboretum von Borsiga, reflektowała się i wracała do „swojego” kwartału. Ufała *mu*. Nigdy jej nie zawiodł, nie oszukał, nie okłamał.

Może i dobrze, że była posłuszna, bo inaczej mogła się natknąć na zastęp Hitlerjugend, na bezlitosne spojrzenia dzieciaków wyszkolonych w wyszukiwaniu jednostek słabych społecznie i zgłaszania ich przełożonym. Być może i ją wywieziono by na leczenie do zamkniętego ośrodka, chociaż niektórzy mówili, że to nie na leczenie, tylko na śmierć. A przecież ona nie czuła się chora. Stara, ale nie chora, a już na pewno nie gotowa na śmierć. Choć może powinna być? Wojna to wojna, a Gaja dobrze poznała jej smak. Podczas tej wcześniejszej widziała ogrom ludzkiego cierpienia, łąy wdów i zagubienie sierot.

* Pyritz (niem.) – obecnie Pyrzyce.

** Mönchsturm (niem.) – Baszta Klasztorna, obecnie w stanie ruiny.